

Julia Kręgiel: „Nigdy więcej...”

Nigdy więcej...

Życie to najpiękniejszy i najcenniejszy dar jaki człowiek dostaje od świata. Jest jedną z niewielu wartości, którą można dostać za darmo. W dzisiejszych czasach coraz bardziej zaczynamy ingerować w długość jego trwania. Dokonując aborcji czy eutanazji, kierujemy się własną wygodą, strachem czy ideologią, nie zwracając uwagi na to, że odbieramy komuś ten wielki dar. Poddani tym zbrodniom nie mają głosu, są bowiem najczęściej zdani na inne osoby. Jednak oprócz tych dwóch coraz popularniejszych zabiegów, pojawia się kolejny poważny problem. Co prawda, dotyczy on określonej grupy ludzi żyjącej na ziemi przesiąkniętej krwią pokrytą gruzami. To straszne miejsce codziennie zmagają się z kwestiami dotyczącymi obrony życia tylko w trochę inny sposób. Mieszkańcy tych terenów mają głos, który nieustannie prosi o pomoc, ale jest on po prostu lekceważony. Ma jednakże taką siłę, że jest słyszany na całym świecie, bo każdy doskonale wie o ogromie bólu, cierpienia, głodu i osieroceniu. Mowa tutaj o konflikcie zbrojnym oraz przejawach terroryzmu na terenie Bliskiego Wschodu, a szczególnie w granicach Syrii. Ktoś może pomyśleć, że ten temat nie pasuje do kwestii obrony życia ludzkiego od momentu narodzin do naturalnej śmierci. Chciałabym, aby człowiek czytający moje rozważania zmienił zdanie. Historia, którą opiszę, mam nadzieję, iż ogarnie niejedno serce oraz da powody do głębokiego zastanowienia się. Muszę, również przyznać, że temat ten jest dla mnie ważny chociażby z powodu moich przekonań. Ludzie od czasu zakończenia II wojny światowej sądzą, że wszędzie panuje spokój, zgoda a prawa człowieka są w pełni przestrzegane. Mówią tak ponieważ w ich krajach gości pokój oraz jedność. Takie zdanie mają Amerykanie, Europejczycy, Australijczycy. A co z mieszkańcami Afryki czy Azji? Czasem odnoszę wrażenie, że ich wzrok nie sięga już do tych miejsc, albo nie chce sięgać. Moja opowieść nawiązuje do tematyki obrony życia oraz wojny. Chciałabym, aby mój głos w końcu dotarł do wszystkich ludzi. W dalszej pracy przywołam prawdziwą historię dziecka, a następnie uzasadnię celowość takiego działania. *Nazywam się Omran Daqneesh. Urodziłem się 15.03.2011r. w mieście znanym z nazwy prawie wszystkim – Aleppo. Można powiedzieć, że stałem się częścią historii mojej ukochanej Syrii. Tego dnia życie każdego z nas diametralnie się zmieniło. Dla mnie ta data ma podwójne znaczenie. Razem z moim przyjściem na świat, rozpoczęła się wojna, która towarzyszyła mi przez całe dzieciństwo i jak się później okaże, także przez dorosłość. Z opowieści mojej mamy dowiedziałem się, że zaczęłam po raz pierwszy płakać równo z pierwszym strzałem oddanym w kierunku mieszkańca Aleppo. Ta osoba zginęła od kuli brata – syryjskiego żołnierza. Od tej chwili serca nas wszystkich zaczęły krwawić, z oczu polały się łzy, a ręce błagalnie unosiły się ku niebu. Ciągle nie mogę uwierzyć w to, że przyszło mi urodzić się akurat w tym czasie... Zawsze zadawałem sobie pytania dlaczego teraz, dlaczego tutaj. Jednak zawsze byłem wierny swojej ojczyźnie i kochałem ją jak własną matkę. Dlatego nigdy jej nie opuściłem. Z biegiem czasu uświadamiałem sobie, że to Bóg postawił mnie w tym miejscu i chce, abym tutaj został. Mimo to, nie wiedziałem jakie mam zadanie do wypełnienia względem rodziny oraz kraju. Wychowałem się w kochającym domu z trójką rodzeństwa oraz cudownymi rodzicami. Odkąd tylko sięgam pamięcią to właśnie mama i tata nauczyli mnie kochać Boga oraz Syrię. Jestem im za to wdzięczny, bo to dzięki nim*

zrozumiałem sens życia. To także rodzice od najmłodszych lat wychowywali nas w wierze katolickiej. Szczególnie tata, który przypominał nam o codziennej modlitwie, niesieniu pomocy drugiej osobie oraz dziękowaniu za każdy dzień nawet ten najtrudniejszy dla mnie i Syrii. Nigdy w Niego nie zwątpiłem, wręcz przeciwnie, pokładałem w Nim ogromną nadzieję w to, że kiedyś nadejdzie czas pokoju w moim ukochanym kraju oraz na całym świecie. Nie pytałem kiedy to nastąpi, bo na pewno przyjdzie to w odpowiednim momencie. Swoje dzieciństwo wspominam jako niezwykły czas przepętniony zabawą, ale także ciągłym niepokojem o kolejny dzień. Na szczęście w otoczeniu mojego rodzeństwa oraz przyjaciół, więcej było przyjemnych chwil. Pewnie niektórzy zadadzą pytanie jak można bawić się i cieszyć życiem, gdy nad głową latają samoloty, spadają bomby, niszczone są domy, szkoły, szpitale, a wśród ludzi panuje bieda. Dlatego przypominam, że byłem wtedy tylko kilkuletnim chłopcem. Owszem, byłem świadkiem cierpienia spowodowanego śmiercią bliskiej osoby czy nawet widoku walącej się szkoły mojego najstarszego brata – Fayada. Docierało do mnie, że znajduję się w centrum piekła na ziemi, ale nie odczuwałem tego aż tak, jak dorośli. Może zabrzmiało to absurdalnie i niedorzecznie, ale miałem podstawy do bycia bezpiecznym. Dlaczego? Ponieważ wiedziałem, że nie jestem sam. To rodzice robili wszystko, abym nie odczuwał zbytnio niebezpieczeństwa. Pamiętam, gdy w nocy w pobliżu naszego domu wybuchł samochód. Wystraszyłem się tak bardzo, aż wybiegłem na drogę w samej piżamie bez butów. Zobaczyłem, jak kłęby czarnego dymu unosiły się ku niebu a z pojazdu wyciągano zwłoki młodego mężczyzny. Wtedy usiadłem na zakręcie i zacząłem płakać jak nigdy w życiu. Nagle poczułem, że ktoś dotyka mnie i wypowiada słowa: „Synku, nie bój się. Ze mną jesteś bezpieczny.” Odwróciłem się i zobaczyłem mamę. Zabrała mnie do pokoju, a wychodząc poprosiła, abym przed snem pomodlił się za zmarłego człowieka. Tak też zrobiłem. Położyłem się, ale wątpiłem w to, że po tym okropnym wydarzeniu będę mógł zasnąć. Co było później – nie pamiętam. Przypominam sobie tylko moment, gdy do pokoju wszedł tata. Na dworze świeciło słońce, a jego promienie rozchodziły się po całym pomieszczeniu. Powoli docierało do mnie, że chyba udało mi się przespać całą noc. Teraz rozumiem, że Bóg zesłał na mnie ten sen, prawdopodobnie jako podziękowanie za modlitwę w intencji tego mężczyzny. W tym strasznym czasie moje dzieciństwo wyglądało chyba tak samo jak może wyglądać u każdego. Miałem swoje marzenia oraz plany, oczywiście na miarę wieku. Nie pragnąłem gier komputerowych, telefonu, najnowszych zabawek lub tym podobnych rzeczy. Jak na „dziecko wojny” przystało, zależało mi na pokoju w Aleppo oraz możliwości swobodnej zabawy z rówieśnikami. Wiem, że to co teraz przeczytaliście jest dla was być może niezrozumiałe. Ale takie właśnie były moje marzenia i myślę, że większości syryjskich dzieci. Zawsze pragnąłem zostać w przyszłości lekarzem. Chciałem pomagać ludziom, bo czułem że jestem potrzebny. Najbardziej zależało mi na tym, aby leczyć małe dzieci. One w największym stopniu odczuwają skutki wojny, którą wywołali dorośli. Brakuje im lekarstw, jedzenia, ubrań i często także rodziców. Te niewinne ofiary konfliktu prawie codziennie tracą swoich ojców, którzy nieustannie walczą o to, aby zapanował pokój w Syrii. Nie robią tego przymusowo, z całego serca pragną lepszego życia dla nich. Dlatego często tacy ojcowie – herosi zostawiają swoje rodziny i bronią kraju. Zdarza się również tak, że umierają gdzieś z dala od domu, ale na zawsze pozostają w pamięci jako bohaterowie. Wolą opuścić bliskich niż opuścić ojczyznę. Właśnie takim oddanym żołnierzem od zawsze chciał zostać mój starszy brat – Ali. Nigdy nie mógł pogodzić się z tym, że w całej Syrii giną ludzie. Pomimo tego, że miał wtedy tylko

dziesięć lat, każdego dnia odwiedzał naszego sąsiada, który walczył na wschodzie Aleppo i słuchał jego opowieści. To było jego ulubione zajęcie. Zachowywał się wtedy jak prawdziwy dziennikarz śledczy. Godzinami zadawał pytania, a gdy już przychodził do domu, opowiadał różne historie syryjskich żołnierzy. Zawsze, gdy kończył relacjonować te świadectwa, w jego małych, ciemnych oczach pojawiały się łzy. Nie oznaczały one strachu, lecz można było z nich odczytać heroizm i patriotyzm. Z jednej strony czułbym się niezmiernie dumny z faktu, że Ali mógłby w przyszłości walczyć z syryjską flagą na ramieniu, Jednak bardziej wolałbym, abym nie miał takiej okazji. Chciałbym, żeby do chwili aż mój brat w pełni dorośnie, Syria była wolna. W państwie ogarniętym wojną, życie jest naprawdę nieprzewidywalne. Nigdy nie wiadomo co, gdzie i kiedy może się przydarzyć. Zrozumieć mnie może tylko ten, kto doświadczył tego nawet w najmniejszym stopniu. Gdy miałem 5 lat na dobre zrozumiałem, że ofiarą tej przemocy może zostać każdy. Wieczór 17.08.2016r. pozostanie w mojej pamięci jako najtragiczniejszy a zarazem taki, w którym mogę podziękować Bogu za nieustanną opatrność. Tego dnia zmieniło się absolutnie wszystko. W Aleppo ciągle toczyły się walki. Trwały od wczesnego ranka do późnego popołudnia. Około godziny 18 koszmar się skończył. Przestraszeni ludzie zaczęli wychodzić powoli ze swoich domów albo raczej z tego, co z nich zostało. Jedni próbowali w gruzach odszukiwać swoich bliskich, drudzy pomagali rannym żołnierzom, a jeszcze inni zabierali ze sobą rodziny i po prostu uciekali. Gdy wyszedłem z Alim, Fayedem i Kadirem na zewnątrz, nie mogłem zrozumieć jak w przeciągu jednego dnia można było zadać tyle cierpienia. Najbardziej zrobiło mi się szkoda moich sąsiadów, którzy pożegnali się z nami, bo postanowili uciec z tego koszmaru. Troje małych dzieci, ich rodzice oraz dziadkowie udawali się w kierunku innej dużej grupy, aby razem przedostać się do Europy. Nie idą po to, aby szukać dobrze płatnej pracy czy luksusowego mieszkania, chcą zwyczajnie poczuć się bezpiecznie. Jednak zanim dotrą do celu, będą borykać się z surowym klimatem, morderczymi odległościami oraz największym cmentarzem wszechczasów – Morzem Śródziemnym. Gdy uda im się szczęśliwie znaleźć na miejscu pojawia się kolejny bardzo poważny problem czyli odrzucenie. Ale dlaczego tak jest? Bo wśród współczesnych ludzi panuje wstrętny stereotyp. Każdy obcy jest wrogiem a nie ofiarą. A przecież ofiara nigdy nie wyrządzi krzywdy, bo od niej się uwolniła i wie jak ona smakuje. Pragnie tylko schronienia oraz życzliwości. Widocznie jest to za wiele. Wrócę jednak do tamtego dnia, a tę sprawę zostawię do rozważenia każdemu z osobna. Weszliśmy z powrotem do domu. W końcu odetchnęliśmy z ulgą, że ten dzień dobiega końca. Weszliśmy do pokoju i po prostu usiedliśmy na kanapie. Jednak Ali jak zawsze nie umiał znaleźć sobie miejsca na zabawę, więc wyszedł na dwór. Wszystkim nam wydawało się, że sytuacja w Aleppo znacznie się poprawiła i że tę noc będziemy mogli przespać spokojnie. Jednak około godziny 19 wydarzył się prawdziwy horror. Przygotowywaliśmy się do snu. Mój najstarszy brat ciągle przebywał na podwórku. Mama wołała go bez przerwy, ale on jej nie słuchał. Wyszła na zewnątrz. I właśnie w tej chwili dokładnie w nasz dom uderzyła bomba. Zostawiła za sobą niebywałe zniszczenie. Dosłownie zrównała wszystko z ziemią. Nasz dom w mgnieniu oka zamienił się w ogromne gruzowisko. Niestety, nie pamiętam co działo się później. Przypominam sobie, że spod sterty kamieni wyciągnął mnie ratownik należący do organizacji „ Białe Hełmy” i przeniósł do karetki. Posadził na pomarańczowym krzeselku, a wychodząc powiedział, że już teraz nic mi nie grozi. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem, że w samochodzie siedzi jeszcze kilkoro innych dzieci. Czuję się naprawdę fatalnie lecz nie ze względu na ból, który odczuwałem, ale

przestraszyłem się, bo nie było ze mną nikogo bliskiego. Doskonale pamiętam chwilę, gdy przetarłem sobie ręką moją zakurzoną i zakrwawioną twarz. Bardzo się zdziwiłem, gdy zobaczyłem na niej rozległą, czerwoną plamę. To właśnie w tym momencie zrozumiałem, że stałem się faktyczną ofiarą tej wojny. Nie bałem się tego co dalej stanie się ze mną lecz martwiłem się o moją rodzinę. Najbardziej tęskniłem za mamą, bo to nie od niej usłyszałem, że jestem bezpieczny, tylko od ratownika. Te słowa nie miały już takiego znaczenia, gdy pochodziły od obcej osoby. Jednak, gdyby ten mężczyzna nie wyciągnął mnie, nie wiem jak dalej potoczyłby się mój los. Od tamtej pory wspominam go jako Bożego wysłannika i nieustannie modłę się za niego. Ten trudny dzień okazał się świetnym tematem dla wszystkich dziennikarzy. Przeprowadzili relacje na żywo z Aleppo, zadawali mnóstwo pytań mieszkańcom i członkom organizacji „Białe Hełmy”, a przede wszystkim robili różne zdjęcia. Jeden z angielskich korespondentów wykonał mi w tym przerażającym momencie fotografię. Wywołała ona prawdziwe poruszenie w serwisach informacyjnych, portalach społecznościowych i innych środkach masowego przekazu. Z jednej strony chcę podziękować temu dziennikarzowi, bo za jego zasługą świat chociaż na moment zatrzymał się, spojrzął na zakrwawioną Syrię i odmówił w myślach krótką modlitwę. Nie zabiegam jednocześnie o sławę oraz rozpoznawalność. Mówię to w swoim imieniu, ale także 3-letniego chłopca Syryjczyka kurdyjskiego pochodzenia Alana Kurdiego, który zginął w czasie przeprawy przez Morze Śródziemne. Jego ciało znaleziono na brzegu w Turcji. Dla upamiętnienia tej tragedii, postawiono mu marmurowy pomnik w Iranie, a w madryckiej katedrze podczas świąt Bożego Narodzenia figurkę zmarłego Alana umieszczono w szopce na miejscu małego Jezusa w żłóbku. Chcemy, aby nasze cierpienie miało sens i przemawiało do serc Syryjczyków oraz ludzi na całej ziemi. Zawieziono mnie do szpitala. Zrobiono mi badania oraz opatrzono rany. Miałem już położyć się do łóżka, gdy nagle z zobaczyłem w drzwiach tatę. Na pierwszy rzut oka, widziałem, że wydarzyło się coś niedobrego. Usiadł obok mnie i chwycił mocno za rękę. Wyglądał na bardzo zmartwionego. Jego oczy zwrócone były w moją stronę, ale miałem wrażenie, że w ogóle nie patrz na mnie. Nagle zobaczyłem, że po jego policzkach poleciały łzy. Pamiętam, że w tym momencie usiadłem na jego kolanach i przytuliłem najmocniej jak tylko potrafiłem. Chwilę później tata powiedział mi, że Ali oraz mama są w bardzo ciężkim stanie. Po tych słowach poczułem ogromny ból w sercu, bo nigdy dotąd nie doświadczyłem takiego cierpienia. Nie potrafiłem i nie chciałem dopuścić do myśli, że mogę stracić dwie bardzo ważne dla mnie osoby. Tamtej nocy w ogóle nie spałem. Pragnąłem, aby jak najszybciej skończył się ten dzień. Głęboko wierzyłem w to, że poranek przyniesie nadzieję na powrót do zdrowia. Jednak niestety, tak nie było. Przed południem straciłem mojego brata oraz mamę. Miałem wtedy wrażenie, że wraz z ich odejściem wstąpi we mnie niepokój. Bałem się, jak będzie wyglądało życie Fayeda, Kadira, taty i moje. Kolejnym trudnym momentem była decyzja o opuszczeniu Aleppo. Nie przyszła nam ona łatwo. Potrzebowaliśmy czasu na to, aby pogodzić się ze śmiercią biskich. Ponadto, tata chciał dla nas całkowitego bezpieczeństwa. Dlatego dokładnie miesiąc po pogrzebie, wyjechaliśmy z miasta. Zanim jednak to nastąpiło, tata postanowił, aby dosłownie zrobić ze mnie nowego człowieka. Podjęliśmy decyzję, aby zmienić mi imię oraz wizerunek. Zdecydowaliśmy się na ten radykalny krok ponieważ nie chcieliśmy, żebym wzbudzał zainteresowanie mediów. Wtedy nie rozumiałem jak mogłoby to wpłynąć na rodzinę. Dziś, gdy jestem już dorosły, dziękuję tacie za tą zmianę. Gdyby nie ona, dziennikarze nieustannie poszukiwaliby mojej osoby, tworzyli

tysiące artykułów, a przede wszystkim ta trudna historia ciągle wzbudzałaby zainteresowanie. Chcieliśmy godnie przeżyć żałobę i pozwolić, aby powstałe w tym czasie rany zagoiły się. Nie umiałbym opowiadać o tych wydarzeniach bez obecności uczuć. Życie poza rodzinnym miastem płynęło spokojnie. Mimo tego, ciągle tęskniliśmy za naszą „małą ojczyzną”. Nie było takiego dnia, w którym nie siedzielibyśmy przy stole wszyscy razem i wspominali o domu, mamie oraz Alim. Również każdego wieczoru modliliśmy się za ich dusze oraz pokój w Aleppo. Część naszych próśb została wysłuchana, bo 12.12.2016r. dotarły do nas informacje o całkowitym wyzwoleniu miasta. Przypominam sobie, że oprócz radości, która nam towarzyszyła z tego powodu, mój ukochany 6-letni wówczas Fayed powiedział, że skoro w Aleppo zakończyły się walki, to na pewno mama i Ali są szczęśliwi w Niebie. Kilka dni później, bo 15.12.2016r. powróciliśmy na stałe do naszej rodzinnej dzielnicy al-Quaterji. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie dobudować zniszczony dom. Zajęło nam to mnóstwo czasu, ale dzięki szeroko płynącej pomocy, w miejscu dawnego gruzowiska stanął nowy budynek. Zależało nam na tym, żeby był on jak najbardziej podobny do wcześniejszego. Wybudowaliśmy również pokój dla Aliego – taki o jakim marzył od zawsze. Do tej pory potrafię go bardzo dokładnie opisać. Był naprawdę piękny. Oprócz krzyża, który wisiał nad łóżkiem, umieściliśmy rodzinne zdjęcie. Natomiast na przeciwległej ścianie na półce postawiliśmy hełm jednego z syryjskich żołnierzy. W ten sposób chcieliśmy, aby Ali zrozumiał, że zaakceptowaliśmy jego decyzję o wstąpieniu do wojska. Niestety, nie udało mu się za życia spełnić tego marzenia, ale wierzę, że gdzieś w Niebie nie służy ojczyźnie, a dobremu Ojcu. Zawsze kiedy tęsknię za nim, spoglądam na ten hełm i dziękuję Bogu oraz rodzicom za tak wspaniałego starszego brata. Życie w Aleppo bardzo powoli wracało do normy. Mieszkańcy starali się odbudowywać je cegielka po cegielce. Było to także możliwe dzięki pomocy licznych organizacji humanitarnych. Dlatego chciałbym bardzo podziękować tym osobom za przekazane pieniądze, paczki żywnościowe i zaoferowaną opiekę medyczną. Bez ich poświęcenia oraz wsparcia nie dalibyśmy sobie rady. Moją historię mógłbym opowiadać w nieskończoność. Wróć jednak do teraźniejszości. Pracuję jako lekarz w jednym ze szpitali dziecięcych. Założyłem rodzinę i wraz z moją żoną i córkami mieszkam w Aleppo. Zamieszkaliśmy w domu, który wybudowałem razem z tatą i braćmi. Mój ojciec zmarł kilka lat temu i niestety, nie doczekał się narodzin wnucząt. Fayad i Kadir natomiast są nauczycielami historii w pobliskiej szkole. Jestem bardzo szczęśliwy, że po 40 latach wojna skończyła się na dobre. Nigdy nie zniknie z serc tych, którzy ją przeżyli, skutki i przebieg są przekazywane młodszemu pokoleniu jako dowód umiłowania ojczyzny. Miejmy nadzieję, że nasze dzieci będą tylko uczyły się o tym, że kiedyś w odległych czasach tymi drogami, którymi dzisiaj biegają do szkoły, szli prawdziwi bohaterowie z karabinami w dłoniach oraz patriotyzmem w sercu. Z tej trudnej, wzruszającej historii, nasuwa się jeden wniosek. Aleppo jest jak nienarodzone dziecko. Również było niepewne swojego losu. Na szczęście powróciło na mapę świata i zaczyna powoli funkcjonować jak prawdziwy organizm. Można powiedzieć, że cierpiało jak niewinna istota poddana aborcji. Mieszkańcy tego skonfliktowanego miasta doświadczyli prawdziwego cierpienia. Każdy dzień był walką o przeżycie. Oby to niezwykle miejsce na Ziemi, było na zawsze bezpieczne. Historia Omrana Daqneesha, jego rodziny i wielu innych wymienionych tutaj osób, pokazuje jak trudno jest żyć w kraju ogarniętym wojną. Dlatego teraz już w swoim imieniu, pragnę zaapelować o obronę życia również tych ludzi. Oni rozumieją swój los, ale nie poradzą sobie bez naszego wsparcia. Chrześcijan

powinni rozumieć i przestrzegać piątego przykazania, które brzmi: „Nie zabijaj!”. Dlatego nie propagujemy aborcji nienarodzonych, sztucznej śmierci, zabijania i innych podobnych zabiegów. Nie wahajmy się także nieść pomocy ofiarom wojny na Bliskim Wschodzie i pomóżmy ocalić życie tym Bezbronny – bo jest darem najcenniejszym, najdroższym i nieocenionym. A każdy człowiek przecież zasługuje na godne życie. Życie od poczęcia do naturalnej śmierci. Tego właśnie bronimy!



Omran Daqneesh Grafika: www.thesun.co.uk